

```
* **** *
**                                     **
**                                     **
**          S E N                    **
*                                     **
**                                     **
* **** *

```

T.N.

... wiał zimny, przenikliwy wiatr. Szedł z trudem głębokimi koleinami. Ślady gąsiennic odciśnięte w zamrzniętym błocie ledwo mieściły się na nasypie. Nawiany śnieg zasłaniał grudy i doły. Lodowate podmuchy siekły w twarz, szarpały waciak. Ręce raz po raz wysuwały się z rękawów, pomagały odzyskiwać równowagę. Mróz przytłumił oddech obudzonego odwilżą bagna. Panował mrok. Nasyp otaczała biała pokrywa. Na niej ciemniały liczne plamy. Chował ręce, szedł dalej krok za krokiem. Chwiał się, potykał o ukryte wyboje. Wiatr sypał śniegiem za poły kurtki. Pod ciężarem ciała trzeszczały tafle zamrzniętych kałuż. Wyszarpywał stopy grzęznące między odłami lodu. W rzadkich przerwach w zadymce z oddali niosło ciche buczenie. Odgłos wzmagął się, przebijał przez szum wiatru. Mięśnie ogarniało znużenie. Mróz wdzierał się pod okrycie, atakował twarz i dłonie. Na nierównościach drogi pojawiły się nikielne odbłaski. Warkot zagłuszył świst powietrza. Promienie światła chybotwały się, przenosiły w przestrzeń rzeźbę kolein. Huk i dudnienie dobiegały tuż zza pleców, czuł drżenie podłoża. Skurczył się w sobie, zszedł na skraj nasypu, nieruchomo patrzył jak mija go traktor...

... skurczony na skraju nasypu nieruchomo patrzył jak mija go traktor. Nie będzie próbował zatrzymać cię, powiedział komendant, jest nikim przez noc, dzień i noc. Wie, że ma zdążyć na pociąg, jak wrócisz weźmiesz jego barłóg. A łańcuch? Łańcucha nie ma, został ze starym, no, jazda na stację, przygotuj czarnego. Nieruchoma sylwetka mignęła w okienku traktora, rozplynęła się w ciemności...

... sylwetka w głębi traktora mignęła, rozplynęła się w mroku. Cień maszyny widoczny w poświacie zadymki wtapiał się w noc. Warkot słabł, ustępował miejsca szumowi podmuchów. Oczy odzwyczajały się od blasku. Z boku powracały na swoje miejsce moczary. Wrócił na drogę wyrównaną przejazdem traktora. Buczenie umilkło w łopocie wiatru. Daleko w przodzie światełko skręciło, zniknęło. Poprawił plecionki na nogach, schował ręce w rękawy, ruszył. Pochylony, przytrzymał podbródkiem poły waciaka. Oszroniona broda chrzęściła przy każdym ruchu. Policzki i palce piekły. Wiatr wyciskał łyzy. Zaciśnął powieki, rozwarł je, patrzył przed siebie rozmytym spojrzeniem. Wiatr uspakajał się powoli...

... dzień po dniu chodził tą drogą tym nasypem trzy razy dziennie w jasny sezon dwa w ciemny do stacji w samej uprzęży ze stacji z pakunkami na stacji załadunek w osiedlu rozładunek po drodze żucie trawy bez trawy schodzili po sezonie jasny sezon ciemny sezon jasny ciemny jasny ciemny całe życie...

... wiatr ścichał zupełnie. Jedna odnoga nasypu skręcała w stronę stacji, druga, przedłużenie tamtej, obniżała się niepostrzeżenie i wnikała w bagno. Niektórzy jak wracali z fabryki wybierali ją, schodzili z nasypu. Za zakrętem przewycięży przyzwyczajenie, minął miejsce odpoczynku. Zdążyć, noc, dzień i noc, mówił komendant, potem łapanie, opuścić rejon. Zwolnił, zawahał się, podjął rytm człapania. Mróz zelżał, nie zatykał już płuc. Oddech nie osiadał na zaroście. Nie wstrzymywana zimnem krew pęczniała

w dłoniach i w twarzy. Szorstki materiał kaleczył skórę nóg. Do stóp wracało kłujące uczucie. Dookoła w przestrzeni śniegu rozrastały się ciemne obszary. Na niebie, na tle chmur odróżniał strzępy obłoków poruszanych tam wysoko wiatrem. Z obu stron nasypu pojawiły się pierwsze oblodzone krzaki. Ich nieliczne szkielety gęstniały w miarę jak oddalał się od zakrętu. Zaległa wielka cisza. Bał się zatrzymać, nie chciał stracić szmeru tarcia rękawów o kurtkę, skrzypienia śniegu. . .

. . . stali nad pakunkami mierzyli się wzrokiem milczeli wzięt uprząż stary załadował pakunki ułożył dwa kamienie obok siebie dotoczył do nich trzeci na nich ustawił czwarty. . .

. . . nogi machinalnie zwolniły kroku. Daleko z przodu błysnęła gwiazda. . .

. . . tragarz zszedł powiedział stary w osiedlu nie słuchał go rozładował uprząż ruszył w trzeci kurs w swój pierwszy kurs był jasny sezon początek całego życia. . .

. . . gwiazda znikła. Pojawiła się, rosta powoli. Rozległo się ciche buczenie. Światło migotało, tańczyło. Buczenie przeszło w terkot. Przyśpieszyć, zdążyć na pociąg, opuścić rejon. Ciemność gęstniała, krzaki rozpyły się w niej. Światło raziło źrenice, wydobywało z ziemi zjawy, cienie, dolewało czerni dotła. Droga obniżała się przed najwyższym punktem nasypu. W dole stracił z oczu blask reflektora. Do uszu wtłaczał się grzmiący głos maszyny. Kierowany nawykami trzymał się drogi, począł podchodzić. Łuna nad głową wycinała krawędź nasypu z nieistniejącego nieba. Stopy ślizgały się, sznurki plecionek pękały jeden za drugim. Upadł na kolana, próbował schować dłonie do wnętrza rękawów. Traktor wyskoczył nagle z drugiej strony zbocza. Z gwałtownym zgrzytem natarł na niego ogromną masą. Cofnął się o krok stracił równowagę. Maszyna mijała go. Powoli zsuwał się z nasypu. Zrezygnowany jak wszyscy przed nim czekał na swój koniec w bagnie. . .

. . . idący przed nimi tragarz niespodziewanie pochylił się zachwiał ześlizgiwał się powoli ze zbocza zdążył rozplątać uprząż rozrzucił pakunki nie znalazł w nich oparcia biernie dał się wciągnąć w głąbinę w ciszy patrzyli ze starym aż zniknął zupełnie mozolnie wydłubali stopnie w mokrej glinie pozbiali pakunki wydobyli uprząż. . .

. . . wśród zanikającego buczenia usłyszał cichy, przeciągły gwizd. Pociąg, musi zdążyć na pociąg. Wbił palce w śnieg, próbował zatrzymać spadek. Wierzął, walił głową w zbocze. Usłyszał cichy trzask pękającego lodu, bulgot wody, poczuł lodowatą wilgoć, oblepiała jego stopę. Ciało zatrzymało się. Gwałtownie szarpnął ku górze, przeciwstawił się ciężącej bezwładności, dłoń za dłonią wspinał się na nasyp. Wtoczył się na drogę, usiadł. Dotknął ręką mokrej stopy, zmienił przemoczone szmaty, zawiązał nową plecionkę. Wstał, zachwiał się, ruszył z miejsca. Chmury zniknęły. Na niebie zaświeciły pierwsze gwiazdy. . .

. . . na niebie świeciły pierwsze gwiazdy. Ostatni odcinek drogi przebrnął w odrętwieniu, na nic nie patrząc. Na stacji wszedł między dwa baraki, spojrzął pod nogi. Na szynach

widniał odbłask światła. Zadarł głowę do góry. Latarnia bujała się na słupie. Poprzez jej nikły płomyk próbował dostrzec gwiazdy. Podeszedł do budynku, namacał szorstkie drzwi, pchnął je. Z środka buchnęło ciepławe, ciężkie powietrze. . .

. . . drzwi otworzyły się, z zewnątrz wdarło się zimne, ostre powietrze. Patrzyła jak wślizgnął się do środka, rozejrzał nieznacznie. Wśród nielicznych, migotliwych lampek kilka postaci w niebieskich waciakach rzucało mu niespokojne spojrzenia. Pochyleni nad blaszankami z herbatą i ogniem zamilkli. W gęstej ciszy z wrogością śledzili pojawienie się nikogo. Przeszedł obok nich, nie patrzył na ścięte, otępiałe twarze. Czekąca aż podejdzie, przystanie, pochyli się, oprze łokcie o parapet okienka. Odsunęła na bok dyktę, odsłoniła otwór w szybie. Czego, warknęła cicho. Bez słowa podał jej trzy zwinięte papierki, podsunął parę metalowych krążków. Patrzyła na niego, nie unosiła głowy. Poprawiła różowy szalik, otarła ręce o waciak. Jeden papierek i jeden krążek schowała do pudełka, pozostałe zsunęła do szuflady. Wyjęła małą tekturkę, rzuciła na blat. Warujące w półmroku niebieskie sylwetki poruszyły się, przez stęchłe powietrze przebiło się głucho brzęczenie wznovionych pomruków. . .

. . . za plecami słyszał wznovione pomruki. Długo przypatrywał się tekturce. Znaki były inne. Na ścianie za biurkiem komendanta były inne znaki. Cyfry. Cyfry, inne cyfry. Pociągnął paznokciem wzdłuż napisu, położył tekturkę na desce, popchnął przez otwór. Popatrzył jeszcze raz na znaki, na kobietę za szybą. Cicho, suka, syknęła wściekle, bez awantur, brać, nie pytać, nie chcesz, nie pojedziesz. Wyciągnęła z szuflady papierki i krążki. Znikaj, wysyczała. Spod blatu wdrapał się na jej kolana mały chłopiec. Oparł rączki na parapecie, spojrzął uważnie jasnymi, niebieskimi oczami. Kto, zapytał, nikt, zepchnęła go z siebie, nikt, pochyliła się, idź już, teraz. Chłopiec zniknął, dykta zasłoniła otwór. Ścisnął w garści zwrócone pieniądze, odwrócił się powoli. Światelka tliły się niewyraźnie. Ruszył. Drętwe, czujne spojrzenia umykały na boki, omijały jego wzrok, twarz, postać. Głowy pochylały się w zamroczeniu, nieruchomiały zapięte w nienawiści. Widział wszystkie twarze, znał wszystkie te milczące twarze. Z każdą rozmawiał, kłócił się, targował. Był nikim. Bez papierosów, bez skórek, drzewa, przydziału. Przebijał się przez niepewność, nienawiść, oczekiwanie. Dotarł do progu, otworzył drzwi. Zanim zamknął je za sobą usłyszał ponownie szmer rozmów . . .

. . . zamknął za sobą szmer rozmów. W twarz uderzył czysty zapach świeżego powietrza. Odetchnął głęboko, oparł się plecami o ścianę baraku. Latarnia bujała się zgrzytliwie. Zapalona latarnia, odkryte tory. Pociąg odjechał. Nie zdążył, spadł z nasypu, nie zdążył, noc i dzień straty. Zdązysz, powiedział komendant, potem będzie łapanie. Skurczył się w sobie, ruszył w stronę torów. Musi czekać, nie może tu zostać. Zostawił z tyłu budynku, gasnącą latarnię, szedł między nitkami szyn. Nie zapadał się. Wszedł w las. Śnieg pokrywał iglaste gałęzie. Drzewa, na dole splecione ciemnością, ku górze rozdzielały się na tle rozgwieżdżonego nieba. Było ciepło. Miętko i ciepło . . .

. . . było dość widno. Liczne gwiazdy oświetlały szlak kolejowy, budynki stacji. Rozejrzał

się, między szynami widniały wyraźne, duże, owalne ślady. Prowadziły w stronę bocznicy, w stronę fabryki. Dobrze. Poprawił czarną kurtkę. Oczywiście komendant pomylił się. Kosooki powtórzył przed powrotem do osiedla, że nikt zostanie na stacji, że będzie w zasięgu ręki w ciągu nocy i dnia. Komendant nie przechodził szkolenia. Szary nie zmienia nawyków, nie zmienia raz poznanej drogi, mówił instruktor. Nie wolno dawać szaremu wyboru, będzie robił tylko to, co mu wcześniej pokazano. Te prawa znają tylko czarni, powiedział instruktor. Komendant nigdy nie zdobędzie czarnego waciaka. Tylko gdy się zna reguły rządzące szarymi i niebieskimi nie ma niespodzianek, nie popełnie się omyłek. Nikt nie nocował na stacji, ani razu. Po wyjściu miał dwie drogi. Na nasyp. Inny możeby się tego obawiał. Chodził w uprzęży przez wiele sezonów, po kilka razy dziennie. Ale teraz był nikiem, nie był tragarzem. Miał wyjść z osiedla, powiedział komendant, powrót na nasyp miał odcięty. Znał dwie drogi, musiał pójść do lasu. Musi go dogonić przed zwrotnicą, droga od pożaru zmieniła się, bocznice zasypał śnieg, może przejść nie zauważając. Spokojnie, złapie go. Skończy się drobna łatanina z ogniem pędzonym na mące z łaski kolejnego tragarza, skończą się targi z niebieskimi, handelki papierosami, kombinacje z drzewem, wymiany z szarymi. To wszystko się skończy. Wszystko na za małą skalę. Złapie go, przetrzyma. Przyjedzie komisja, okaże się kto tu co potrafi. Nie wystarczy być komendantem, nie pozwalają na większy rozmach. Komisja doceni, kto wie, może będą szukać nowego komendanta, jakby im podsunąć historię z tamtym. Skończy się komendant, tajemnice, wyjazdy, spotkania. Od pożaru wszystko stanęło, trzeba to zmienić. Przyśpieszył, jego buty wycinały ostre, kanciaste stemple w łagodnych, owalnych zagłębieniach. Panował lekki mrozek, miękkie powietrze owiewało twarz. Zgrzany marszem odkrył głowę, rozchylił waciak. Z gałęzi zsuwały się bezszelestnie czapy puchu, opadały z niestyszalnym dźwiękiem w zasy. Tor skręcał szerokim łukiem, mijał przesiekę. Rozjaśniało się. Las był rzadszy, drzewa wynioślejsze, u ich podnóży kłębiło się niskie poszycie. W poprzek torów przechodziły tropy małego zwierzęcia. W sznureczku okrągłych śladów widział wielki ślad po leżącym ciele. Zza drzew wychylił się księżyc . . .

. . . zza drzew wychylił się księżyc. Świecił mocnym blaskiem. Otworzył szerzej oczy, wpatrywał się w jego bladą tarczę. Nie zwracał uwagi na uciekające czubki drzew. Głowa oparta na gałęziach i suchych liściach kołysała się rytmicznie. Skąd to przyszło, co mu czarny powiedział o tamtym? Wyszedł ze stacji, gonił pociąg, skąd się wziął czarny? Co było najpierw, co było potem? Szedł nasypem, widział traktor, wyszedł przed barak, sprzedała zły bilet, szedł torem, dobre, świeże powietrze. Szedł torem. Dokąd? Szedł torem, nie mógł zostać na stacji. Musi czekać na pociąg. Jaki pociąg? Zdązysz, powiedział komendant. Stracił noc i dzień. Czarny, gdzie jest czarny? Głowa kołysała się ciężko. Oczy zamykały się, wyciągnięte ciało zaległo bezwładnie. Księżyc przeświecał przez obłoki . . .

. . . na niebie pojawiły się obłoki. Dwie postaci dochodziły do rozjazdu, skręciły w bok, w

świeży śnieg. Postać w czarnym waciaku mówiła, tłumaczyła, rozkazywała. Ta druga, ubrana na szaro, szła miarowo, kiwała głową w takt trudnego marszu. Wychodzili z lasu. Wewnątrz rozwidlenia rosły drobne, gęste krzaki, na zewnątrz nasypów rozciągała się plamista płaszczyna. Nie czuć było najmniejszego powiewu. Powietrze stało ...

... powietrze drgnęło, drgnęła ziemia. Zgubiłeś rytm kroków, potknąłeś się. Z tyłu dobiegł cię odległy, nikły stukot. Rytmiczny dźwięk wzmacniał się. Ruszyłeś dalej, zbliżyłeś się do brzegu nasypu. Czarny wciąż mówił, szedł obok samym skrajem. Powolniejszy rytm stukotu dochodził wyraźnie od strony zwrotnicy. Czarny nagle zamilkł, spojrzał na ciebie. Odpowiedziałeś mu spojrzeniem. Odpowiedziałeś mu spojrzeniem prosto w oczy. Zobaczyłeś gładką, młodą twarz, okrągłą głowę, wyteżony wzrok. Pochyliłeś się, wyprostowałeś, pchnąłeś go silnie. Zachwiał się, upadł, zaczął zsuwać się do bagna. Zawahałeś się, skoczyłeś w drugą stronę. Ześlizgnąłeś się między krzaki, w łoscocie jadącego pociągu usłyszałeś cichy trzask pękającego lodu, stłumiony chłupot. Znowu zawahałeś się. Ruszyłeś, nabrałeś rozpędu. Przedzierałeś się przez krzaki, padałeś, podnosiłeś się, czołgałeś, pełzłeś, biegłeś, łamałeś gałęzie, odpychałeś zarośla, tratowałeś kępy trzcin. Dopadłeś nasypu po drugiej stronie rozwidlenia, wdzierając się, wspinałeś, wczołgiwałeś, stanąłeś na szczycie. Tuż przed oczyma migały deski, okucia, sprzęgi, bufory, koła, stopnie. Pociąg nabierał szybkości. Ruszyłeś w kierunku jazdy, złapałeś wystający uchwyt, na oślep wyrzuciłeś nogę do góry. Uniesiony wstrząsem wtoczyłeś się na platformę. Twoja zdrętwiała pięść rozwarła się, po szorstkich deskach potoczyły się metalowe krążki. Leżałeś nieruchomo ...

... leżał nieruchomo. Uniósł się, przysiadł na piętach. Zgarbił plecy, schował twarz w dłonie. Opuścił ręce. Na czworakach przeszukał platformę. W rogu znalazł barłóg z gałęzi, kory i suchych liści. Zaszył się w nim, leżał na wznak, zamknął oczy. Otworzył oczy. Poczuł ogromny ciężar głowy. Pociąg wjechał w las, czubki drzew uciekały do tyłu. Gwiazdy zniknęły za obłokami ...

... zza obłoków prześwitywał księżyc. Szedłem szybko w rozpiętym waciaku, bez czapki. Zobaczyłem przed sobą szarą sylwetkę. Czekaj suka, krzyknąłem ...

... chodzili do fabryki każdego dnia ten i ten drugi mały przygarbiony inni przyjeżdżali pociągami chodzili sezon pół sezonu potem schodzili grupy szarych ciągnęły między osiedlem i fabryką zmieniały się a oni trwali obojętni na swe istnienie ten pierwszy miał rejestr zapisywał wszystkich nowych imiona nazwiska daty numery na pierwszych stronach wypisane regularnym wyrobionym pismem potem opuszczał imiona potem nazwiska zostawiał koślawe inicjały na następnych kartkach bazgrolił tylko ilu przyjechało coraz mniej przyjeżdżało a w końcu odhaczał tylko czy był pociąg czy nie po pożarze prawie nikt nie przyjeżdżał kartki były puste przydawały się na papierosy te zapisane lepiej było zostawić na potem ...

... czekaj wreszcie. Nie obejrzał się, nie zwolnił. Odległość między nami zmalała,

zrównaliśmy się, szarpnąłem go za ramię. Czekaj, mówię, powiedziałem, słuchaj. Nie spojrzął na mnie, szedł ciągle równym, odwiecznym krokiem. Tak też dojdziemy, słuchaj. Coś w nim drgnęło, przechylił lekko głowę, zrobił parę kroków, zerknął kątem oka. Idziemy do fabryki, do izby. Posiedzisz dekadę, dwie. Izba ciepła, przylega do mojej, drzewa dość, sam wiesz. Będzie co jeść, co pić nawet, no i co popalić. Spokój. Potem pójdziemy do osiedla po nagrodę, pójdziemy, mówię, bo ci coś z tego, wiesz przecież, ze mną zawsze szło się dogadać. Komendant wyznaczy premię za tamtego, musi wyznaczyć. Mnie nic nie ujdzie. Ty tak czy siak wrócisz do osiedla, dodatkowych parę lat nie sprawi ci różnicy. W izbie będzie ci dobrze, lepiej niż w osiedlu. Przez dwie dekady nic nie robić, spać, nie pracować, nigdzie się nie ruszać. Dostanę drugą brązową naszywkę, może dwa, może trzy dni, może co więcej. Trzymaj ze mną, za każde drzewo dam ci teraz całego papierosa, zasz mnie, zawsze dawałem ci za drzewo, przedtem za mąkę z pakunków, nawet ogień. Za to dostaniesz od niebieskich wszystko, co tylko zechcesz. Zdawał się mnie nie słuchać, nie rozumieć. Szliśmy dalej, ciągle mówiłem. Przy zwrotnicy zwolnił, uniósł głowę, patrzył wprost na tory, nasłuchiwał. Opuścił głowę, przyspieszył, skręcił w stronę fabryki. Oczywiście. Nie było dla niego innej drogi. Księżyc chował się za chmury ...

...ciemniało. Głowa podskakiwała, ciałem wstrząsały dreszcze. Trzask lodu, gonitwa, traktor zepchnął go z nasypu. Nie zdążył. Jedzie pociągiem. Zdązysz, powiedział komendant. Był na stacji, otworzył szorstkie drzwi. Buchnęło ciepłe, gęste powietrze. Leży w barłogu, swój barłóg oddał za łańcuch. Czuł wielki ciężar, leżał nieruchomo, bezmyślnie ...

...stał nieruchomo, bezmyślnie. Pójdiesz na stację, dasz to, podsunął mu trzy zwinięte papierki, weźmiesz bilet. Wsiądziesz do pociągu, masz noc, dzień i noc, potem będzie łapanie. Zdązysz. Tu masz papiery tamtego, w rejonie będziesz nikim. Ona ma ci sprzedać bilet, masz jeszcze pieniądze za papierosy od czarnego, wiem o tym. No już, idź. Wyszedł z biura, w twarz uderzył mróz. Było zimno, ciemno i zimno. Wiał przenikliwy wiatr ...

...było ciepławo, nie czuł na twarzy żadnego podmuchu. Jechał bez świadomości, unoszony pędem pociągu. Zamknął oczy, popadł w odrętwienie. Ciepło ...

...miętko i ciepło. Zatrzasnął drzwiami szmer ochrypłych głosów. Szedł torem, nie zapadał się. Z iglastych gałęzi zsuwały się cicho puchate czapy, bezgłośnie uderzały w śnieżne zasy. Szedł machinalnie, nie rozglądał się ...

...nie rozglądał się pod ręką trzymał rejestr nie wchodził do środka mówił stary zapisuj na stacji albo przed fabryką ja też nie wchodzę tylko pokazuję drogę raz wejdiesz nie przetrzymasz sezonu grupa szarych otaczała ich szli powoli równym odwiecznym krokiem ...

... szedł powoli, owinięte szmatami stopy zostawiały w śniegu owalne, płytkie wgłębienia. Dotarł do przesieki, ocknął się z odrętwienia, zaczął obserwować uważnie drzewa, szukał śladów. Poczł zmęczenie, opadł na śnieg pomiędzy szynami ...

... dochodzili do przesieki milczeli szli środkiem zasypanych torów ciągnęli sanie na zmianę weszli w przesiekę jeszcze raz powiedział stary jeszcze trzeba dla czarnego doszli do wysokiego skraju bagna podjęli leżące pnie układali kolejno na płozach coraz wyżej i wyżej to już ostatni powiedział stary wystarczy na pełną blaszankę w milczeniu uzupełnili stos zawiązali łańcuch wbili topory wysoko w pnie rosnących drzew szarpnęli sanie zabujały drgnęły ruszyły trzeszcząc przeszli krok następny krok sanie pochyliły się znieruchomiały łańcuch napiął się czekaj powiedział stary płoza się obsunęła podeprę z boku pociągnij spróbowali za ciężko powiedział stary trzeba trochę rozładować wspiął się sięgnął po węzeł łańcucha zakleszczył się powiedział stary nie dostaniesz z tamtej strony stary postawił nogę na płozie na najniższym pniu powoli podciągnął się w górę przyklejony do ładunku zbliżył krótkowidzące oczy do węzła sanie zachybotwały się łańcuch pękł pnie posypały się porwały starego runęły z nim do bagna rzucił sznury zbiegł na dół huk i trzask ucichły pośrodku czarnej plamy stary zapadał się przygnieciony pniami stary charczał pluł krwią chwycił za pnie odciągał je odsuwał bagno łapało go próbowało porwać przytrzymać nie trzeba wyrzucił stary złamało mnie przestań przestań patrzył na niksącą sylwetkę starego na szare ramiona waciaka wystające z plamy na wystającą głowę boję się boję się charczał stary roztrzaskaj mi łeb siekierą boję się pośpiesz się zanim mnie wciągnie pośpiesz się nie ruszył się patrzył na znikające usta nos oczu nie mógł dostrzec patrzył na znikające czoło na włosy na czarną pustą plamę na zabłocone pnie cisza nic się nie zdarzyło cisza rozpełzła się po lesie wyszedł na górę utoczył ze śniegu cztery kule podjął z sań dwa kawałki łańcucha splątane niepotrzebnym węzłem rzucił je w czarną plamę znikły ustawił jedną kulę na trzech pozostałych podniósł sznury pociągnął sanie poszedł nieskończoną przesieką przed torami porzucił sanie w gęstniejącym mroku dostrzegł trop małego zwierzęcia biegnący w poprzek torów ocknął się z odrętwienia poczuł wielkie zmęczenie w nieprzeniknionej ciemności słyszał stukot kół nadjeżdżającego pociągu ...

... w ciemności słyszał pod deskami platformy stukot kół jadącego pociągu ...

... w ciemności stuknęły koła odjeżdżającego pociągu. Leżał na skraju nasypu, nie zdążył pociąg odjechać. Podniósł się, podszedł do budynku, sięgnął na oślep ręką, trafił na szorstkie deski. Nie zdążył przed łapaniem. Pchnął drzwi, ujrzał żółte płomyki, usłyszał szmer wielokrotnionego szeptu. Pochylone nad ogniekami postaci mruzczały niewyraźne słowa, wszystko spowijał gęsty mrok. Minął rzędy przygarbionych sylwetek, podszedł do czerwonego światełka. Siedziała pod lampką na wysokim krześle. Na kolanach trzymała niebieskookiego chłopca. Mały uniósł rękę, bawił się jej różowym szalikiem. Oparł łokcie o barierkę, zamknął oczy, pochylił głowę. Bolał go kark, bolał go cały kręgosłup. Obraz jej na krześle oddalał się, powiększał, rozpływał. Odczuwał



za sobą ogromną przestrzeń, otaczała wszystkich zebranych. Powietrze zgęstniało do granic cieczy, unosiły go łagodne prądy, wirował popychany falami. Wokół, w zielonkawej poświacie tańczyły blade, wółprzezroczyste stworzenia. Bujanie wzmogło się, odczuwał przyjemny zawrót głowy, oddał się całkowicie przeciwnym ruchom wody. Zanikał wzrok, czucie, władza nad ciałem, nie widział jej nigdzie, odczuwał wszędzie jej obecność. Ciało pulsowało rytmicznie, wir nabierał prędkości, tracił świadomość w narastającym falowaniu. Obezwładniony zbliżał się do powierzchni, poczuł skurcz, wynurzył się, odczuł szorstkie powietrze na twarzy. Otworzył oczy, leżał w poprzek barłogu, policzkiem dotykał desek. Oddychał z trudem, przepuszczał powietrze między spieczonymi wargami, z suchym gardłem przekręcił się na legowisko. Sen nie powracał. Mościł się, przewracał z boku na bok, kręcił, kulił, rozprostowywał. Usiadł. Z garści wiórów zaczerpniętej spod siebie wybrał parę gałązek. Żuł z wysiłkiem, przetykał skąpy, cierpki sok. Robiło się jaśniej, pociąg wyjechał z lasu. Patrzył jak z boku pojawiła się przejrzysta, delikatna łuna. Gdzieś tam czerniały bezlistne drzewa. Nad ogromnymi przestrzeniami wznosił się brzask . . .

. . . nad ogromnymi przestrzeniami ziemi i śniegu wznosił się brzask. Gwiazdy gaśły. Delikatne odcienie między granatową czernią, a różową bladością rozjaśniały się stopniowo. Szary, nocny śnieg nabierał porannych barw. Niewidoczne za horyzontem źródło pulsowało pastelowymi promieniami. Widnokrąg rozszerzał się, światło wypełniało przezwroczyłą kopułę, odpychało cienie. Dniało . . .

. . . dniało. Przeskoczyłem na przedostatnią platformę. Jak wszystkie była pusta. Pnie nie zostały przygotowane, nawet czarny nie pojawił się ze swoją osobną porcją. Specjalny, dodatkowy kurs pociągu szedł nikomu niepotrzebny i pusty w obie strony. Szybko i sprawnie. A w tartaku i tak próchniały stare zapasy, nie miał ich kto przerabiać. Słońce zaczęło się wynurzać . . .

. . . zza linii łączącej niebo z ziemią wynurzył się pierwszy skrawek purpurowego kręgu. Słońce podnosiło się szybko, widoczna była cała ognista kula . . .

. . . słońce podniosło się. Przeskoczyłem na koniec pociągu, zabrałem niepotrzebne latarnie. Spod wagonu wyskakiwała taśma torów znaczone gęstymi kreskami podkładów. Wróciłem na poprzednią platformę. Na deskach zabłyśły krwawo małe metalowe krążki. Pochyliłem się, pozbierałem je, schowałem. Wyprostowałem plecy. Z legowiska w kącie patrzyły na mnie szare, nieruchome oczy. Martwe spojrzenie uderzało. Poderwałem się, rozpędziłem, zwolniłem, zatrzymałem, zawróciłem. Na środku stanąłem, wyjąłem z waciaka zawiniętą paczkę, położyłem ją na szorstkich deskach, poprawiłem szalik, z impetem przeskoczyłem na kolejną platformę. Słońce jaśniało . . .

. . . słońce pomarańczowiło, przepędzało resztki nocy. Rzadkie płaty śniegu połyskiwały czerwono z jednej strony pociągu, niebieskawe z drugiej. Tłusta ziemia lśniła między

suchymi wiechciami starej trawy, a jasnozielonymi pędami świeżej. Budził się dzień. Pociąg miarowo stukał kołami po szynach . . .

. . . miarowo stukał kołami po szynach. Budził się dzień. Usłyszał lekki tupot pośpiesznych kroków. Otworzył z trudem oczy. Kolejarz w niebieskim waciaku przeskakiwał z platformy na platformę. Z boku, na szarej płaszczyźnie, leżała połówka czerwonej tarczy, dźwigała się z wolna ku górze. Niebieski powrócił. Przystanął, pochylił się, wyciągniętymi rękami o rozpostartych palcach dotykał desek. Sięgnął za połę waciaka, wyprostował się. Czarna sylwetka migotała na tle przedzierającej się wzwyz świetlistej kuli. Znikła, coś zatupotało, pojawiła się na nowo. Niebo jaśniało. Ponad zarysem głowy roztaczała się pomarańczowa poświata. Sylwetka pochyliła się, mignęła, rozpierzchła się. Kroki zadudniły, zgubiły się w turkocie kół, ucichły . . .

. . . wszystko ucichło stali patrzyli na niego za jego głową wisiąca zimna świetlista kula jasne stalowe niebo odpychało obcością widać było wszystkie szczegóły wszystkie grudki błota wszystkie szpary w ścianach firanka wisząca w oknie nie ukrywała już niczego na całym placu nic nie zatrzymywało wzroku tamten zszedł powiedział z naciskiem uderzając krótkim łańcuchem po wysokich butach zszedł z nasypu powtórzyli wchłonęto go zupełnie zawiesił głos wchłonęto go powiedzieli jeden z nich mały przygarbiony rzucił pod nogi w wysokich butach zabłocony drąg ty stary powiedział mu pójdziesz do lasu jedna noga oderwała się od błota uniosła błyskawicznie uderzyła leżącą tyczkę trzask łamanego drewna przedarł się przez szkliste powietrze a ty zdejmiesz uprząż pójdziesz ze starym stali unieruchomieni ciężkim spojrzeniem słowa nie docierały ty podszedł do następnego weźmiesz od niego uprząż wiesz co dalej kosooki zajmie się traktorem no ty nie wiesz że jesteś kosooki wcisnął każdemu kromkę chleba do ręki już warknął już stąd opustoszały plac tulił w swej pomarszczonej dłoni błotny odciski leżącego ciała słońce świeciło . . .

. . . słońce świeciło mocno, oświetlało wszystkie szczegóły. Z barłogu wystawała zagięta gałązka, na jej końcu drgała srebrzysta kropla, migotała czerwonymi i niebieskimi odbłaskami załamanych promieni. Na środku platformy, na szorstkich deskach leżało płócienne zawiniątko. Podczołgał się ostrożnie, patrzył z bliska na biały materiał, przysuwał twarz, nie dotykał. Wciągnął powietrze, z paczuszki płynął znany, zapomniany zapach. Poruszył się niespokojnie, pośpiesznie rozplątywał węzełek. Na deski wysypały się cztery kromki chleba, potrząsnął szmatką, wypadło jeszcze kilka okruszyn. Chwycił jeden kawałek, gwałtownie wepchnął do ust, prawie natychmiast połknął. Wyciągnął rękę po następny, cofnął ją, rozpostarł białe płócienko, położył na nim kromki, skrupulatnie pozbierał okruszki. Patrzył na trzy kawałki szarego chleba. Ogarnęło go niezwykle wrażenie oczekiwania. Obraz ich czterech, przygarbionych ze spuszczonej głowami, wtopionych w błoto placu apelowego. Wtedy widział trzech pozostałych, ściskali w dłoniach kawałki chleba, odpływali z placu, znikali na tle baraków. Słyszał głos. Ty stary. Ty kosooki. Ty do lasu. Ty weźmiesz uprząż. Nieznane uczucie to-

rowało sobie drogę z powietrza przez powierzchnię skóry, mięśnie, krew, do brzucha, przez kręgosłup, gardło do głowy. Zdumienie otwarło oczy. Oddać uprząż, przekazać uprząż. Stary, kosooki. Obezwładniające oszołomienie ogarnęło myśli, uwięziło każdą cząstkę świadomości. Leżał sparaliżowany przeczuciem jakiegoś odkrycia, patrzył prosto w słońce. Jego ruch i pęd pociągu kreśliły upływ czasu. Zamknął oczy, palcami gniótł róg płóciennej chustki, zapadł w ciężki, bezsenny, ciemny sen. Słońce świeciło srebrno–złotym blaskiem, jego promienie igrały na twarzy . . .

. . . słońce igrało na śpiącej twarzy śpiącego. Leżał bezwładnie, poruszał palcami rąk zasiskał je, rozluźniał. Plecionka zsunęła się z nogi, rozwinięte szmaty zaczepiały o nierówności. Postrzępione na kolanach spodnie znikwały pod brzegiem szarego waciaka. Obszerna kurtka deformowała ukryte ciało. Ramiona w podartych rękawach przytrzymywały poły kaftana. Ręka poruszyła się, łokieć przycisnął białe zawiniątko do boku. W miejscu kołnierza rozkładały się skłębione włosy, broda przetykana szarymi nitkami, zaciśnięte usta, długi nos, czujne, przebudzone, zaspane oczy. Powoli uniosłem dłoń. Jesteś nikim, zapytałem, dlaczego masz niebieskie naszywki . . .

. . . gwałtownie wyciągnął rękę. Jesteś nikim, stwierdził, skąd masz te niebieskie naszywki. Brązowe oczy świdrowały przenikliwie zza szkielec. Rozchylone usta wśród rudawej brody obnażały zęby. Szeroki kołnierz, biała koszula zawiązana u szyi cienkim paskiem, brązowa kurtka z kieszeniami zapięta na trzy guziki, gładkie spodnie, skórzane buty ze sznurowadłami. Ostrożnie sięgnął ręką do ramienia. Jesteś brązowym, spytał cicho, przyszedłeś do mnie . . .

. . . szarpnął ręką, zerwał naszywki. Jesteś brązowy, krzyknął ostro, znalazłeś mnie. Nie, nie, powiedziałem, nie mam waciaka, po chwili, nie mam naszywek. Jesteś potrzebny, potrzebuję cię. Umilkłem, szare oczy nie traciły czujności. Łokieć odsunął się nieco od boku, zarys ramienia obniżył się. Szorował dłońią powierzchnię spodni. Dzień był jasny, minął brzask, minął świt, minął ranek . . .

. . . minął brzask, dzień wstawał jasny. Odwrócił się od okna tarł w zamyśleniu brodę. Podeszedł do stołu, zdmuchnął niepotrzebną świeczkę, usiadł na krześle. Spojrzał na ścianę, na kalendarz, opuścił głowę. Odpowiedzi, powiedziałem poprawiając wysokie buty, odpowiedzi nie znajdziesz za oknem, ani w blasku świecy, ani nigdzie. Dopóki uciekasz, zabijasz. Wszystko jedno wspomnienia czy ludzi. Nie ruszał się. Mówię o sobie, może jesteś brązowy mimo, że nie nosisz waciaka, to bez znaczenia. Wypiłem. To nieważne, jesteś inny. Spotykam cię, odpowiadam na twoje pytania, mówię czego się dowiedziałem, przez to staję się inny. Kto nie jest inny, kto się nie wyodrębnia, ten schodzi, szybko. Widziałem takich, może tysiące. Przyjeżdżali tacy sami, schodzili tacy sami. Dolałem do obu blaszanek. Wypiliśmy. U brązowych funkcjonuje to także, tylko że oni mają większe szanse. Działają częściej pojedynczo, częściej odróżniają się od tła. W jednolitej masie tkwi instynkt samozniszczenia, nieprzeparta chęć do wtapienia się, aż do całkowitego zapomnienia. Wyjątki. Tak, wyjątki są, oczywiście. Mam, miałem

dwa takie przypadki. Zamilkłem. Wypiliśmy. Dolałem. Ten szary był inny, nie wiedział o tym. Przetrwiał wszystko, fabrykę, uprzęż, las, żył obok tego co robił. To była jego odrębność. Inni nie zauważali tego, zwłaszcza szarzy. Niebiescy, początkowo też nie. Ale w końcu zaczęli odróżniać go w grupach ciągnących między osiedlem i fabryką. Musiałem pozbyć się go. Jego i tej jego umiejętności przeżywania. Mógł tym zarazić innych, wyodrębnić, porozdzielać pozostałych. Poszedł do lasu, a nawet to było na niego za mało. Wypiliśmy. Tamten drugi był kiedyś brązowy. Nie wiem co zrobił, za co się tu znalazł. W osiedlu był szary, mimo to zachował brązową odrębność. Też musiał zniknąć. Zamilkłem. Za dużo wiedział. Za dużo chciał. Patrzyłem na niego. Nie widziałem go . . .

. . . nie widzieliśmy się. Patrzyliśmy na siebie. Chciał mi ją zabrać. Chciał mi ich zabrać, powiedział cicho, do siebie. Wypił. Siedziałem napięty, usztywniony, tylko ręką sięgałem po ogień. Wydobyl kolejny pojemnik, nalał. Przez to, że cię spotkałem, powiedział, że odpowiadam na twoje pytania, żyję. To mnie wyodrębnia, ta twoja odrębność, ta twoja tutaj niecodziennosc. Za to moja odrębność stanowi o twoim istnieniu. Wypiliśmy. Spojrzał w okno, zza firanki jaśniało. Nawet gdybyś zbierał te kamienie, te kwiaty, spotykałbyś szarych, niebieskich, czarnych, czasem brązowych. Błąkałbyś się od masy do masy. Żyjesz dzięki mnie, bo spotykasz się ze mną, a nie z jakimś szarym o czarnych naszywkach. Zginiesz, gdy ja stracę swoją odrębność. Tak jak ja zginę, jak przestaniesz tu przyjeżdżać, dodał ciszej. To nie jest odpowiedź, powiedziałem. Nie jest, odparł, odpowiedzi nie ma, jest w tobie. Wypiliśmy. Chcesz żyć, chcesz być inny. Musisz przełamać swoje dążenie do szarości, do wtapiania się, musisz przełamać siłę napędową tego dążenia. Taki sprzeciw, taki opór powoduje straty, przyspiesza zejście kawałków masy. Piłem wolniej, zakrztusiłem się. Odetchnąłem mocniej. Tak, ciągnął, bo czym się różnią, co ich wyodrębnia, to masa, niezależnie od koloru waciaka. Jeżeli chcesz przetrwać musisz się nią żywić, musisz pilnować, żeby cię nie wchłonęła, nie odebrała ci twojej odrębności. Dolał resztki płynu. Milczeliśmy. Dopiliśmy. Pozbierał opróżnione pojemniki, otworzył drzwi, wyrzucił na zewnątrz puste blaszanki. Potoczyły się hakaśliwie po zboczach. Buchnął świeży, wilgotny wiatr . . .

. . . powiało świeżym, wilgotnym powietrzem. Puste puszkę toczyły się w dół nasypu. Z pół dolatywał zapach ziemi. Śnieg zniknął. Nad platformą, nad stojącym pociągiem wibrował świergot niewidocznego ptaka. Nie, nie jestem, mówił, choć noszę brązowe ubranie. Do tej skrzyni chowam kamienie, rośliny. Zbieram, opisuję. Jeżdżę i szukam. Jesteś niebieski? nie, też nie. Szeptem – Jesteś nikim? Nie, skądże, nikim może zostać tylko szary. Albo brązowy, gdy go zmienię w szarego. Nie jestem nikim. Kim jesteś?, szare oczy patrzyły uważnie. Tarł brodę w zamysleniu . . .

. . . kim jesteś zapytał nie pytaj chłopcze uśmiechnął się zza okularów za dużo pytań powiedz lepiej chcesz być niebieskim nie czemu nie chcesz bo niebiescy no co niebiescy bo niebiescy stale tylko nam coś zabierają coś między sobą wymieniają tylko by jedli

a nas pędzili no to może chcesz zostać czarnym nie czarnym nie chcę dlaczego nie chcesz jak będziesz czarnym to może w końcu uda ci się zostać brązowym nie chcę być brązowym no powiedz chłopcze dlaczego nie chcesz zostać brązowym nie chcę nie chcę ale czemu powiedz źle się tobą czarni opiekowali nie to nie to opiekowali się jak wszystkimi no to powiedz dlaczego przecież wszyscy chcą nosić brązowe kurtki ja nie chcę nosić brązowej kurtki bo raz brązowy no właśnie mów dalej sucha dłoń tarosiła łagodnie kasztanową czuprynę promieniowała miękkim ciepłem i co ten brązowy i ten brązowy kazał tym czarnym rozwalić nasz dom i kazał im ich zabrać i potem mnie tu przyprowadził gdzie oni są teraz gdzie są moi nie trzeba chłopcze nie trzeba ręka zatrzymała się delikatnie na włosach nie dobrze jest tak pamiętać to jest twój dom innego nie miałeś tu są twoi opiekunowie o tamtych już zapomniałeś przecież nikt nie pyta nie szuka ty nie chcesz być niebieski ani czarny to jest bardzo trudne to będzie dla ciebie bardzo trudne mój mały ty chcesz pytać szukać spróbujemy nie będziesz miał opiekunów jak wszyscy będziesz musiał sam sobie wszystko robić przygotowywać sprzętać to będzie trudne lepiej zapomnij o tym i wróć do wszystkich oczy zza okularów patrzyły uważnie na okrągłą twarzyczkę czekały na odpowiedź . . .

. . . zbieram, opisuję, jeżdżę, powtórzył cicho, tak cicho, że głos jego ginął w melodii podniebego śpiewaka. Wstał ze skrzyni, odwrócił się, patrzył w pole. Leżący przestał pytać, przełknął, otarł usta, odczołgał się do barłogu. Wypatrywał kropli wśród płataniny legowiska. Dostrzegł jedną, potem następne. Uniósł mokrą gałąź do góry. Pociąg drgnął, szarpnął wagonami, ruszył. Krople posypały się na twarz, skrząc się niebieskim i czerwonym migotaniem. Patrzył na mijane drzewa, gałęzie odrywały się od pni, cieniały ku górze, nikły w oślepiającym blasku. Białe słońce sięgnęło zenitu . . .

. . . przenikliwe słońce sięgnęło zenitu. Łagodnie ześlizgnął wzrok po białym niebie. na granicy błękitu i szczytów drzew tańczyły dwie czarne rozmyte tarcze. Odróżniał wśród liści koronkę cienkich gałązek. Niżej grubsze gałęzie i konary opuszczały zielone zacisze i spływały wzdłuż pnia na ziemię. Łąka rozkwitała. Brzęczące roje uwijały się między ziołami. Wzdłuż linii oddzielającej światło i cień kluczyła cienka ścieżka, krętym ściegien łączyła kępy ostrej trawy, bukiety sitowia, różnobarwne plamy kwiatów. Dróżka gubiła się w gęstej zieleni, odnajdywała wśród żywnych grud kretowisk, w końcu podbiegała lekko ku zakurzonej drodze. Suchy upał zastąpił duszną, ciepłą wilgoć łąki. Żar bił z piaszczystej powierzchni. Powietrze drgało. Zamazany zakręt drogi rozdzielał łąkę i sosnowy las. Postępował śladami kopyt końskich odbitymi wyraźnie w sypkim podłożu. Za zakrętem powitał go lekki podmuch delikatnego wiatru. Czysta połać stawów jaśniała spokojem. Ptactwo baraszkowało w nadbrzeżnych zaroślach, po całej tafli rozchodziły się łagodne fale. Opuścił drogę, przeszedł wzdłuż krzaków czeremchy, przez małą, drewnianą furtkę dostał się do leśnego ogrodu. Srebrne plamy słońca i złote cienia pokrywały drzewa, krzewy i poszycie. Mrówki biegały między szyszkami i suchymi, brązowymi igłami. Dalej, w migotliwej mozaice światła i roślin widniał

stół. Prosty, zbity z szorstkich desek stał na dwóch wkopanych w ziemię nogach z grubych bali. Na ławach kręciły się dzieci, stukały łyżkami, krzyczały, śmiały się. Matka nalewała zupę do talerzy. Ojciec siedział naprzeciw niej, patrzył na jej bujne, rozplątane włosy. Jeszcze dalej rósł ogromny jałowiec, za nim krzak bzu i karłowaty dąb o szerokiej, rozrośniętej, gęstej koronie. Uchylone drzwi małego, drewnianego domku odkrywały ciemne wnętrze. Na szybach błyskały odbite promienie słońca . . .

. . . w szybie błysnęły odbite promienie słoneczne. Uchylone drzwi rozwarły się, odkryły jasną płaszczyznę. Tamten przekroczył próg, zachwiał się, wypadł z baraku, zataczał się, zbiegł ze zbocza, na placu zrobił jeszcze parę kroków, potknął się, runął na twarz, rozbryzgnął błoto. Wstałam, minęłam biurko, pchnęłam okno, spojrzałam zza firanki. Cztery szare sylwetki przechodziły przez plac, znieruchomiały. Ciało tamtego leżało nagie, wciśnięte w rozdeptaną ziemię, mokre pacyny kleiły się do skóry. Skrzywnęta podłoga. Komendant przeszedł obok mnie, wyszedł z baraku. Tamten na szyi miał mój różowy szalik, wzdłuż pleców krwawiła ciągle szeroka, wyszarpana rana. Komendant schodził powoli, jego biała koszula odcinała się od szarego tła. Wysokie buty miesiły glinę. Widok placu przykuwał wzrok. Ogarnęło mnie poczucie utraconej bliskości. Zadrzałam. Zawinęłam się w firankę, drzenie opanowało brzuch, uda, ramiona, podeszło do gardła, wstrząsnęło karkiem. Odrzuciłam głowę do tyłu . . .

. . . poprzez firankę zobaczyli jak jej głowa odskakuje do tyłu. W ciszy wybuchał gwałtowny, srebrzysty śmiech. Jego niepowstrzymane kaskady wznosiły się wyżej, coraz wyżej. Komendant spojrzał na nich, podeszli ostrożnie, z wahaniem. Machnął ręką w kierunku stacji. Wyjęli ciało z błotnistej formy. Głowa w pokrywie włosów zlepionych krwią kiwała się łagodnie. Szli rytmicznie, ciało kołysało się między nimi. Wyszli na nasyp. Na środku pustego placu poniewierał się różowy szalik. Słońce świeciło mocno, obnażało wszystkie szczegóły. Na niebie nie było ani jednej chmury . . .

. . . na niebie nie było ani jednej chmury. Podniósł głowę, usiadł. Po drugiej stronie skrzyni ręka w brązowym kaftanie tarła w brodę. Rozpostarte palce zasłaniały poruszające się wargi. Pociąg jechał przez wielką, otwartą równinę. Widok roztaczał się szeroko. Młode, jasnozielone źdźbła pięły się mocno i pewnie ku słońcu, zagłuszały żółtoszare, wpółzgniłe, zeszłoroczne pozostałości. Kolory mieszały się, zlewały ze sobą, przy horyzoncie niebieściały. Gdzieś rosnęły niewielkie kępy drzew. Na skrzyni pojawiła się blaszanka, potem pojemnik. Ostra woń ognia uderzyła w nozdrza. Masz, dobiegły go słowa, napij się, dobrze ci to robi. Sięgnął po blaszankę. Patrz, przestrzeń, ogromna przestrzeń. Pusto, nikogo. Gdybyś znał miasto, znał te poruszające się masy. Odstawił blaszankę, ogień palił żołądek, rozchodził się po całym ciele, mieszał myśli. Słowa brzęczały niezrozumiale, nieznośnie . . .

. . . nieznanne uczucie torowało sobie drogę z powietrza przez powierzchnię skóry, mięśnie, krew do brzucha, przez kręgosłup i gardło do głowy. Zdumienie otwarło oczy. Oddać uprząż, przekazać uprząż, stary, kosooki. Komendant odróżniał ich, czterech

wtopionych w błoto. Była między nimi jakaś różnica, nie wszystko jedno, który z nich jest w lesie, który nosi uprzęż, który jeździ traktorem. Krótkimi słowami zostali oddzieleni od tła, rozdzieleni od siebie, nazwani. Tragarzem nie jest się od chwili zobaczenie zejścia poprzedniego tragarza do własnego zejścia. Tragarz może zostać wyznaczony, wyznaczyć się, odznaczyć. Traktorzysta tak samo. Do lasu idą nie tylko ci, którzy nie mają innego przydziału. Komendant postanowił, coś różni starego od kosookiego, ich można w dodatku nazwać, określić. Stoją na placu, szarzy jak przedtem, ale inni, wyodrębnieni. Nie są jacy byli, są inni, byli tacy sami. Zdziwienie rośnie, przenikało każdy zakamarek ciała. Każdy jest inny, był inny. Był inny? Jest i był. Był? Co dalej? Będzie. Czy będzie inny? Komendant ich porozdzielał, są inni. Byli inni? Zdziwienie ustąpiło radości, strachowi. Poczuł w głowie szum, natarczywy, nieznosny. Do świadomości dochodziło brzęcznie, strzępy niejasnych, niezrozumiałych słów . . .

. . . słowa dobiegały ciągle. Miasto, poruszające się masy, skupiska ludzi, duzi, mali. Widziałbyś jednakowe ubrania, jednakowe twarze, jednakowe ruchy. Żadnych różnic w przelewającym się tłumie. Nieliczni wybrańcy wyróżniani są naszywkami, zmianą koloru waciaka, przeniesieniem z tłumy niebieskiego do czarnego, czy jakkolwiek inaczej. Niewidoczni w jednej masie, wyłaniają się na chwilę przenosin, znikają w następnej. Każdy może być wybrany, każdy może być pominięty. Każdy może być awansowany, każdy zdegradowany. Masy czarne, niebieskie czy brązowe. To nic, że jednych jest więcej, a drugich mniej. Jeżeli w ogóle coś zauważają to tylko swój kolor, swoją przynależność. Masy dużych, masy małych. Czy byłoby możliwe, żeby częśćka jednej masy należała do innej częśćki, żeby każdy mały był przypisany do kogoś, kogoś konkretnego, a nie do wszystkich? Za dużo pytań, nie trzeba pytać. Nikt nie pyta, nie szuka. Częstki jednej masy przekształcają się w częśćki innej. Nie ma początku, nie ma końca. Wszystko co trwa w miejscu, bez żadnej widocznej zmiany niszczeje i znika, zapada się i roztopia. Naszywki, kolory, przenosiny zapobiegają samozagładzie, pozwalają przetrwać. Jeśli nie ludziom, to masom. Nikt nie wie, kto zostanie wyróżniony, kto zostawiony, wszyscy czekają na to, boją się, ale zbierają siły i czekają. Nawet rozdawcy awansów i degradacji, oni też są małymi częstkami jakiegoś tłumy. Chaos, chaos regulowany koniecznością zachowania proporcji w składzie mas i koniecznością przemian, przenosin. Skąd te pytania, za dużo pytań, zapomnij, zapomnij. Słowa rozpiechły się, głos ścichł, umilkł . . .

. . . zapanowała cisza. Uniósł powieki, platforma była pusta. Pociąg stał pomiędzy stosami pni, gałęzi, bali, desek. W powietrzu kotłował się silny zapach ściętego drzewa, żywicy i trocin. Przyklęknął, usiadł. Wagony stały na bocznicy zakończonej dużym, drewnianym budynkiem krytym papą. Rozejrzał się, wystawił głowę, zerknął wzdłuż pociągu. Przy budynku niebieski z bezwłosą głową rozmawiał z brodaczem w brązowym ubraniu. Ten po chwili skinął głową i ruszył w stronę patrzącego. Mijał kolejne wagony, przekraczał kupy gałęzi, kory, wiórów. Chodź, powiedział, pociąg dalej nie jedzie.

Wyszedł na rampę. Chwycili z dwóch stron skrzynię, podeszli do łysogo. Posuwali się za nim, zostawili z boku budynek, weszli na małe podwórko otoczone z trzech stron sągami starannie ułożonych polan. Zbliżyli się do domu. Słońce zaglądało pod daleko wysunięte okapy, załamywało się w szybach. Od progu poczuli senny, rodzinny zapach ...

... od progu poczuli ciepły nieznanym zapach. Weszli szybko, zamknęli drzwi, zatrzymali się w małym korytarzu. Dalej, pośpieszał łysy, zdejmował niebieski wacik z czarnymi naszywkami, do pokoju. Weszli głębiej, wciągnęli skrzynię. Łysy wyszedł na chwilę, wrócił z wiadrzem wody, postawił na krześle miednicę, wskazał kawałki worków, opuścił pokój. Zdejmuj wszystko, powiedział mu, rozpiął brązową kurtkę, nalał wody do miednicy. Masz być przewodnikiem godnym brązowych naszywek. Rozebrał się posłusznie, szybko. Włożył obie dłonie do wody, wstrzymał oddech. Obserwował chłód przechodzący przez skórę. Pochylił głowę, zaczerpnął dwie garści wody, zanurzył twarz w rześką świeżość. Z rosnącą przyjemnością przecierał ręce, brzuch, plecy i nogi mokrym, zimnym workiem. Szorował wszystko dokładnie, mocno, do czerwieniejącego bólu. Długo splukiwał. W końcu wyprostował się, wyciągnął ręce na całą szerokość, głęboko odetchnął. Masz, weź to ubranie. Zwahał się, spojrzął na podane rzeczy. Wciągnął szare spodnie, koszulę, ciemną kurtkę z trzema guzikami. Z namaszczeniem wkładał buty, długo wiązał sznurowadła. Spojrzął na swoje nogi, ręce, próbował poruszać nimi, zrobił kilka kroków. Dobrze, pasuje, powiedział głos znad miski, otwórz puszkę, są w skrzyni. Potrząsnął głową, czekał, aż włoży brązową kurtkę, podejdzie do kufra. Patrzył jak wyciąga dwie puszkę, otwiera je, stawiana wieku. Drapieźnie wyciągnął ramię, tuż przed puszką zacisnął dłoń, cofnął rękę. Pochylił się, przysunął szary wacik, spomiędzy materiału wydobyl białe zawiniątko. Rozplątał węzeł, rozchylił płotno, położył na skrzyni. Nie trzeba, ręka szarpnęła kasztanowatą brodę, w puszkach jest dość. Spojrzeli na siebie. Chociaż wiesz, spróbuj. Wąskie dłonie ujęły ostrożnie jedną kromkę, podniosły ją, przełamały na pół. Patrzył jak wkłada mały kawałek chleba do ust, żuje starannie, połyka. Trzema kęsami opróżnił swoją puszkę, zjadł resztę przełamanej kromki. Przełknął, otarł usta, wstał. Spojrzął na leżący wacik, spodnie, plecionkę. Zniknij to, usłyszał, nie będzie już potrzebne. Zawinął szarą kurtkę i pozostałe szmaty w mały pakunek, owinął go kawałkiem worka. Zawiązał rogi białej chustki, schował do kieszeni. Wyszedł z pokoju, znalazł się w wąskim, ciemnym korytarzu. Po paru krokach przystanął obok schodów o starej, kręconej poręczy. Na najniższym stopniu drgała niewielka, jasna plamka ...

... jasna plamka, mieniła się niebiesko i czerwono. Kolorowy promień odrywał się od podłogi, wznosił łagodnym ukosem aż do ściany naprzeciw schodów, znikał w rogu szlifowanej szyby wprawionej w drzwi zasłonięte dużą, ciężką szafą. Stał i patrzył zachwyconym wzrokiem na piękną grę bogactwa barw, na ich powolny, majestatyczny ruch. Kim są ci dwaj, zapytała plamka wysokim, szeleszczącym głosem. Wystannicy



stamtąd, odpowiedział promień mruklawie, niechętnie. Zapomniał o podziwianym przed chwilą zjawisku, słuchał z napięciem, z rosnącą paniką. Wysłannicy, a widziałeś papiery? Widziałeś jego waciak? Jest w najlepszym razie nikim. I co z tego, mają papiery, pokazywał mi ten brązowy. Jaki brązowy, bez waciaka, bez naszywek? Czytałeś przynajmniej co tam piszą? Nie, nie mogłem. Wiesz, że ja nie jestem od sprawdzania tych stamtąd, to zresztą może być próba. Jaka próba, trzeba czym prędzej zameldować w biurze. Nie, nie, oni zostali przez nas przyjęci, nie możemy tego zrobić. Przez ciebie tylko, przez twoją lekkomyślność mamy wszystko stracić? Ile czasu czekałeś na niebieski waciak? A wiesz jaki jest teraz przedstawiciel, chcesz, żeby mały nigdy nie dostał brązowych naszywek, nigdy tu nie dostał przepustki? Nie mów tak, już nie pamiętasz jak byłem nikim, czego potrzebowałem, ale ja pamiętam, kto mi co kiedy ofiarował, a kto prześladował. Pamiętam, świetnie pamiętam i nie chcę, żebyś kiedykolwiek był znowu nikim, żeby mały poszedł do osiedla. Oni tylko chwilę odetchną i znikną. Ty ciągle udajesz, że nie rozumiesz, a wiesz, że od kiedy przedstawiciel poślizgnął się na tym romansie z małą rejonowego, robi wszystko, żeby odzyskać swoje naszywki, nie mówiąc już o wymarzonej zmianie waciaka. Ciszej bądź, o tym nawet myśleć nie wolno, to się nigdy nie zdarzyło. No widzisz sam, trzeba iść do urzędu. Nie, nie możemy. Musimy, a jeśli to próba, to i tak będą daleko, jak się okaże kto zameldował, a przedstawiciel będzie pamiętał i w razie co pomoże. Nie pójdę i powiem im, że mają już iść. Musimy to zrobić, słyszysz, musimy. Nie czekał, aż głosy umilkną. Płamka znikła. Wyszedł na podwórko, wepchnął pakunek głęboko między polana, założył szczapami nierównoność powstałą w sągu. Ciemnożółte słońce oświetlało drogę ...

...ciemnożółte słońce oświetlało drogę, wydobywało wszystkie szczegóły, rysowało cieniami szczeliny w ścianach mijanych domów, załamania płaszczyzn, malowało wzniesienia i obniżenia terenu. Domy były zamieszkałe, puste, okna pozasłaniane workami, tekturą. Przed jednym z budynków zobaczyliśmy koślawą ławkę, stary człowiek siedział na niej nieruchomo, sztywno, spał, może był chory. Szliśmy prędko, nie oglądaliśmy się, nie rozmawialiśmy. Niebo czerwieniało, pojawiły się strzępy fioletowych obłoków. Lekkie podmuchy wiatru przerzucały przez drogę kawałki szmat, wióry, ścinki tektury. Przelatywały leniwie szepcząc jak jesienne liście. Szedł obok mnie, z początku niezręcznie, nogi wykręcały mu się nieprzyzwyczajone do butów. Z każdym krokiem jego sylwetka prostowała się, ruchy nabierały pewności. Z wielką uwagą przypatrywał się drodze, obserwował okolice. Milczeliśmy ciągle ...

...wszedł cicho spiesznie chodźmy stąd chwycił mnie za rękę chodźmy z tego domu spojrzałem na jego twarz była zaciśnięta martwa tylko oczy pytały przenikliwie otworzyłem skrzynię wjąłem dwie płócienne torby z długimi pasami do jednej włożyłem puszkę do drugiej dwa małe pudełka i papiery reszta musi zostać powiedziałem podałem mu zeszyt z notatkami do spakowania trzymał zeszyt patrzył na zapisane luźne wystające kartki pisałem kiedyś powiedział cicho prowadziłeś rejestr zapytałem przeglądałem za-

wartość skrzyni nie ja pisałem powtórzył umiałeś pisać domyśliłem się zatrzasnąłem wieko zamknął zeszyt nie powiedział pisałem źle pisałem za dużo podałem mi torbę z papierami ...

... jego człapanie przeszło w powłóczysty, potem sprężysty krok. Zwieszono bezwładnie ręce dostosowały się do rytmu marszu, podkreślały go zamasyście. Nadchodził zmierzch. Zbliżaliśmy się do zwartej bloku zabudowań. Z dali dobiegło nas ujadanie psa ...

... z dali dobiegało nas ujadanie psa. Zbliżał się brzask. Patrzyliśmy na siebie rozdzieleni filującym płomieniem świeczki. Gdzie przewodnik, zapytał, nie ma, odpowiedziałem. Nie ma, powtórzył, nie ma, zszedł, powiedziałem. Zszedł, mruknął, sam zszedł z nasypu, a masz następcę, zapytał głośno. Nie mam. To kłopot, stwierdził, musisz znaleźć, w papierach musi się zgadzać. Najlepszy byłby nikt, ale nie ma ich teraz dużo, coraz mniej. Dlaczego, zapytałem, dlaczego jeżeli chce się przeżyć, czy tylko żyć, ceną jest zawsze życie, czyjeś życie. Dlaczego ktoś musi zejść, kogoś trzeba zepchnąć, dlaczego jest za wąsko dla wszystkich. Nie myśl o tym, powiedział, nie trzeba, zapomnij. Czy zawsze, pytałem, czy zawsze w sytuacji krytycznej jedynym rozwiązaniem jest śmierć. Wszystkie sytuacje są krytyczne, zamknął i odsunął zeszyt, nalał, chodź, odwiezę cię traktorem poza rejon. Czy można żyć bez śmierci, bez zabijania, tworzyć życie. Zostaw te sprawy, to są złe pytania, za dużo pytań, to ci nie pomoże, masz, wyciągnął rękę z blaszanką, to ci nie znajdzie przewodnika, tak nie zgadniesz co odpowiadać brązowym czy czarnym. Musisz mieć co jeść, gdzie spać, nie zadawaj pytań. Wyjął kolejny pojemnik, nalał. Czy można choćby odejść od śmierci, uniknąć konieczności zabijania. Wypił, nalał, podsunął mi znowu blaszankę. Spojrzałem na płomień świecy. Zgłupiałeś, mówiły mi jego oczy, zgłupiałeś doszczętnie. Odwróciłem się, odszedłem od okna. Przez szarość przebijały się pierwsze smugi światła. Pies zamilkł, zaległa martwa cisza ...

... milczeliśmy, pies też zamilkł. Smugi światła roztapiały się w szarości. Niebo pokryte chmurami, zaczął padać drobny deszcz ze śniegiem. Patrzył na mnie z ukosa brązowymi oczami. Dochodziliśmy do zabudowań, coraz trudniej widać było wszystkie szczegóły ...

... patrz obserwuj mówił stary ryj w pamięci wszystkie szczegóły żadna rzecz nie jest dwa razy ta sama żadna rzecz nie jest dwa razy taka sama jednostajność zabija będziesz chodził tą drogą całe życie za każdym razem będzie inna musisz tylko umieć odróżniać szczegóły patrz i obserwuj skoro nie możesz sam zmieniać zauważaj co się zmienia dookoła ciebie ryj w pamięci najmniejsze drobiazgi tylko pozornie wszystko się powtarza powszednie rozpytywa w monotonii zejdziesz tego dnia w którym uwierzysz że wszystko jest już bez różnicy tylko tego można się bać naprawdę tego roztopienia w nicości zioła wzmocnią ci serce ale siebie tylko tak możesz uratować nie usypiaj na jawie sen zaciera

kontury rozmydła drobne różnice patrz obserwuj zapamiętuj przypominaj porównuj to właśnie sposób na przetrwanie . . .

. . . niebo całkowicie pokryło się chmurami, padał mokry śnieg. Obeszli dookoła plac zabudowany z czterech stron. Na placu wśród błota i kałuż stała mała ciężarówka. Wewnątrz skrzyni, pod szarzieloną plandeką widać było ławki. Pod ciężarówką, między przednimi kołami, a gąsiennicami podtrzymującymi skrzynię leżał na workach mechanik. Odkręcał lub przykręcał śruby, stukał obcęgami, warczał i cicho przeklinał. Za samochodem odnaleźli urząd. Weszli, przystanęli przy uchylonej barierce. Wdychali zapach zakurzonych akt, wielu lat biurowej krzątany. Do przedstawiciela, powiedział mocnym, najniższym głosem, strzepnął wilgoć z brązowego ubrania. Siedzący za barierką czarny zamknął otwarte jak do krzyku usta, odetchnął, oblizał wargi, spojrzał z napięciem. Papiery szczeknął, natychmiast papiery. Do przedstawiciela, powtórzył z przyciskiem, stanowczo, oczy straciłeś, przeszedł za barierkę. Schody na wprost, drzwi z klamką, przez sekretariat, wyrzucił z siebie czarny, odzyskiwał powoli równowagę, a ty suka stój, dokąd to, papiery, napadł na następnego. Ze mną, usłyszeli zza barierki, ze mną do przedstawiciela. Papiery, upierał się czarny, wyczuł lekkie wahanie. Chodź, idź przede mną, pociągnął go za rękaw w stronę schodów. Czarny wstał, otworzył usta, spojrzał na nich, rozmyślił się, odwrócił się plecami, usiadł. Weszli na piętro, szli korytarzem. Za brudnymi oknami widzieli plac pokryty płatami topniejącego śniegu. Czekaj tu, powiedział, otworzył drzwi, wszedł do biura. Czego usłyszeli suchy głos sekretarki. Drzwi zamknęły się, przytłumiły dźwięki rozmowy. Dochodziły go niewyraźne słowa, nie wszystko słyszał, nie wszystko rozumiał, sens umykał przytłoczony drzwiami i sennością. Wymiana zdań przebiegała szybko, oba głosy, suchy i niski były pewne siebie, wyrazy padały wartko, gniewnie . . .

. . . czego, powtórzył suchy głos, z przedstawicielem, odpowiedział niski, suchy – papiery, niski – paszport, suchy – przewodnik, niski – rozmawia z czarnym, suchy – czego, niski – z przedstawicielem, chwila ciszy, nowy głos, ochrypty – czego, suchy do was, ochrypty – kto, suchy – zbieracz, stamtąd, ochrypty – papiery, przewodnik, suchy – paszport, składa raport u czarnego, ochrypty – czego, niski, powoli z naciskiem – popatrzcie na ten paszport, byle czarny miętosi go, nie jest w stanie niczego przeczytać, utrudnia transport materiałów, ochrypty – i co, niski – potrzebny papier, w jednym miejscu paszport, zezwolenie, przewodnik, napisane tu u was, żeby mogli odcyfrować, ochrypty – zezwolenie, papiery przewodnika, niski – już dałem, po chwili jeszcze niżej – to jest brązowy paszport, tam czekają na materiał, cisza . . .

. . . zaległa raptownie cisza. Zza drzwi nie dochodził teraz żaden odgłos, żaden szmer. Bał się tej ciszy, bał się ją przerwać jakimś poruszeniem. Nie mógł przypisać głosom sekretarki i przedstawiciela żadnej postaci, żadnego rysu twarzy, charakterystycznego gestu. Nie był w stanie pomyśleć, czy przedstawiciel ma twarz okrągłą, czy nosi okulary, czy kobieta ma włosy jasne, czy ciemne. Powoli, bez ruszania głowy, spojrzał przez

okno. Uderzały w nie pierwsze podmuchy wiatru. Plac był biały, znaczone plamami kałuż. Mechanik wyczołgał się spod ciężarówki, założył niebieski wacik z brązowymi naszywkami, wszedł do kabiny, zamknął ją. Spod pojazdu wydobył się kłęb spalin. Mechanik wyszedł z kabiny, przeszedł parę kroków, wszedł do urzędu. Na dole trzasnęły drzwi. Z sekretariatu dobiegło szuranie. No tak, usłyszał ochrypty głos, tak...

...tak, powiedział ochrypty głos, no tak. Niski głos podjął rozmowę. Potrzebni są ludzie potrafiący decydować, potrzebni są nam tacy ludzie. Jako zbieracze w rejonie, zwłaszcza w mieście. Potrzebna inicjatywa, można się pomylić, nawet jeżeli spotka jakaś kara to szybko przychodzi awans. Kto umie znaleźć drogę, ten nie boi się pobłądzić, temu żadne głupie pomyłki, choćby się zdarzyły nie przeszkodzą w karierze. Ochrypty – co wy mi tu próbujecie, niski – możecie nie słuchać, ale decydować trzeba, tylko szarzy nie muszą decydować, ochrypty, gwałtownie – wy mi tu nic nie będziecie, niski – ja wam tu nic nie zamierzam, ale popatrzcie jeszcze na ten paszport. Ja wiem, też byłem kiedyś w waszej sytuacji, wy też kiedyś możecie być w mojej, też może będziecie decydować kto ma być kim w podległym obwodzie, będziecie wiedzieli kto co ostatnio próbował, ochrypty – czekajcie, to czego chcecie, niski – niczego, tylko papieru, żeby mi paszportu nie brudzili, ochrypty, ciszej – no tak, tak. Suchy głos dołączył się – to co, co mam teraz robić. Zapadła cisza...

...cisza. Nieznośna, długa cisza. Odwrócił się do okna, nie dbał o skrzywienie podłogi. Oparł czoło o szybę, przymknął oczy, otworzył je, ciemniało. Dzień kończył się. Co teraz...

...jak to co, ochrypty głos krzychał niepewny i pełen złości, jak to co, jeszcze nie wiesz suko co robić, po chwili spokojniej, pisz co podyktuję, sprawdzę i podpiszę. Niski głos – jeszcze transport, ochrypty – co, co jeszcze, niski – przecież tam czekają. Cisza. Znowu cisza. Drzwi skrzyknęły, uchyliły się, niwidoczny za nimi suchy głos krzyknął – czarny, autobus. Gotów, dobiegła z dołu odpowiedź. Drzwi zatrzęsły się, coś szurnęło. Rozległ się łomot maszyny do pisania...

...maszyna do pisania łomotała zza drzwi. Przytulił policzek do chłodnej szyby, oparł się całym ciężarem o parapet. Kątem oka dostrzegł czarną sylwetkę wyłaniającą się ze schodów. Z wysiłkiem skupił uwagę na widoku z okna. W resztkach wieczornego światła zauważał cień ciężarówki, zarys zabudowań otaczających plac. Daleko w głębi placu, na białym tle poruszały się dwie sylwetki. Wytężył wzrok. Mezczyzna szedł za kobietą, niósł małą, szarą paczkę. Przed urzędem zapaliła się lampa kołysana wiatrem. Plac zgubił się w nagłej ciemności. Zamknął oczy, próbował przywołać obraz świetlistej, kolorowej plamki, zamiast niej kołowały mu w głowie słowa jakiejś rozmowy. Ogromne zmęczenie, zostawione na platformie, zmyte zimną kąpielą dopadło go znowu. Spać, spać jak wtedy, spać i jechać. Rytmiczny stukot maszyny ucichł. Ręka w brązowym rękawie szarpnęła go za ramię. Obudź się, obudź, samochód czeka, nie pora teraz spać ...

... rytmiczny stukot ucichł. Obudź się, obudź, ręka szarpała stanowczym ruchem jego ramię. Uniósł głowę. Latarnia kiwała się zgrzytliwie, śnieg prószył. W niewyraźnym świetle dostrzegł czerwone naszywki na brązowym waciaku. Gwałtownie rzucił się do tyłu, wyskoczył z barłogu. Drżał z zimna i głodu. Rozejrzał się ukradkiem, platforma stała przy wysokiej rampie. Skulił się, zastygł w bezruchu. Nie bój się ...

... nic się nie bój, powiedział spokojny głos, wszystko będzie dobrze. Zimne spojrzenie uśmiechało się łagodnie znad okularów. Chodź, samochód czeka. No chodź, jesteś zmęczony, odpoczniesz w samochodzie. Jesteś nam potrzebny, jesteś ważny, naprawdę. My ciebie potrzebujemy, a ty nas. Dostaniesz jeść, będziesz miał gdzie spać, swój kąt, będzie ci ciepło. I spokój, dużo spokoju, może rok, może więcej, parę sezonów, poprawi się. Bardzo tego potrzebujesz. Będziesz mógł nam wszystko opowiedzieć, tego też ci było brak. Przecież ty chcesz mówić, rozmawiać, opowiadać. Ty będziesz mówić, a my będziemy ci dawać jedzenie, ile zechcesz. My lubimy słuchać, lubimy wiedzieć, mamy swoich szperaczy, przecież wiesz, szukają, pytają. Ale ty wiesz lepiej, prawda, widziałeś to wszystko sam, z bliska. I chcesz opowiadać. Nie wszystko pamiętasz, oczywiście, ale będziesz miał dużo, dużo czasu, żeby sobie przypomnieć. Nie chcesz chyba wracać do osiedla, nie po to stamtąd wyszedłeś. No, nie bój się. To jest trudne na początku, ale my ci pomożemy. Powiesz nam co robiłeś, kto cię tu wysłał, jaki jest twój komendant. Jak zaczniesz sobie przypominać, to w końcu wszystko do ciebie wróci. Przecież nie zawsze byłeś nikim. No właśnie, już widzę, że coś jednak pamiętasz. Trochę pytań, trochę wspólnych rozmów i jakoś pójdzie. Nawet jeżeli nie od razu, to będziesz miał czas, dużo czasu, żeby uzupełnić, przypomnieć sobie. Skąd masz papiery, chyba nie byłeś nigdy brązowym, nie, nie musisz teraz, przetrzymaj to sobie. A co robi komendant, z kim się spotyka, z kim rozmawia, dokąd jeździ, jak często. No właśnie. Tobie potrzebny spokój, a nam twoja przeszłość. Tylko ty ją w sobie nosisz, może jej nie widzisz, ale ona jest tam w tobie. No masz, napij się ...

... napij się. Wyciągnięta ręka trzymała pełną blaszankę. Ostry zapach wdarł się w nozdrza. Chwycił, wypił ogień duszkiem, oddał naczynie, przetarł rękawem wargi. Chodź już. Wstali, na rampie czekała mała ciężarówka z obudowaną, metalową, szarozieloną skrzynią. Z jednej strony stał czarny z karabinem przewieszonym przez ramię, jego gładka twarz błyszczała w blasku lampy. Z drugiej palił papierosa niebieski, trzymał w ręku zabłoconą pałkę. To ten, zapytał ledwie słyszalnie, poprawił szalik, to ten. To nikt, odpowiedział brązowy, to nikt, jego nie ma. Jego nie ma, odpowiedzieli. Masz tu na początek, brązowy podał białe zawiniątko, pożyw się, nie musisz sobie tak od razu wszystkiego przypominać. A właściwie to skąd u ciebie taka wytrwałość. Wskakuj. Jeszcze będzie ci trudno. Wgramolił się do pustej skrzyni, skulił w kącie. Trzask zamykanych drzwi odciął go od resztek niewyraźnego światła. Usłyszał chrobot skręcanego drutu, jakiś szcęk. Ciężarówka delikatnie zakołysała się, odczuł szurgot zasuwanych drzwi kabiny, odległy warkot motoru. Usiadł, oparł plecy o ścianę, ciężką głowę wci-

snął w kąt, podciągnął kolana, złożył twarz w dłonie. Ociężałe myśli wirowały coraz leniwiej. Ciężarówka jechała, podskakiwała rytmicznie na nierównościach . . .

. . . wagony podskakiwały rytmicznie, jechał zatłoczoną kolejką podziemną, co kilka stacji wysiadał, w tłumie obcych pasażerów przemierzał długie, rozwidlające się korytarze, wsiadał do kolejnego wagonu kolejnej linii. Ludzi ubywało. Czasem wydawało mu się, że odróżnia twarze znajome, twarze kochane i bliskie, ale zanim je rozpoznawał oddalały się porwane bezkształtnym, ludzkim potokiem, znikwały w odnogach tuneli. Tłum rzedniał z każdym przystankiem. Trwało to bardzo długo. W przejściach spotykał coraz mniej osób, w wagonach byli już tylko pojedynczy pasażerowie. W końcu został sam. Pociąg jechał teraz z ogromną szybkością ciemnym tunelem. Słychać było głuche dudnienie, w brudnych oknach migotały jakieś rzadkie światła. Nagle pojazd wyskoczył ponad powierzchnię, w przestrzeń oświetloną oślepiającym blaskiem. Wagon stracił swoje wymiary, rozszerzył się do niewidzialnych granic. Kiedy oczy przyzwyczyły się do jasności ujrzał się w środku ogromnej, pustej budowli. Promienie słońca igrały w niebiesko-czerwonych szybkach licznych, podłużnych okien, wokół niego tańczyły kolorowe plamki. Klęczał, trzymał twarz w dłoniach, powtarzał żarliwie, dlaczego, dlaczego, jak długo, jak długo jeszcze, dla kogo, dlaczego. Z głębi podeszła do niego mała, przygarbiona postać w długiej szaro-brązowej szacie. Potrząsnęła nieprzytomnym. Wstań, wstań i idź, oni czekają na ciebie, masz jeszcze tyle do zrobienia . . .

. . . wstawaj, potrząśnie tobą brutalnie, wstawaj i idź, on czeka na ciebie. Otworzysz oczy, spojrzysz trzeźwym, niewidzącym wzrokiem na kosookiego. Uśmiechniesz się. Jego oczy umkną jeszcze bardziej w bok. Wyoś się, ile razy mam cię budzić, wyoś się, to nie jest twój barłóg, powie pośpiesznie, wszystko mi jedno co zrobisz z łańcuchem, to jest teraz moje miejsce. Popatrzysz na jego nabrzmiałą, złą twarz, dalej za nim pozostali nie ruszą się ze swych miejsc, będą gapili się w przestrzeń pod przymkniętymi powiekami. Czekają, na co oni czekają, pomyślisz może. Z tyłu, za nimi, jakby przyklejony do ściany stary będzie stał i bujał lekko dwa kawałki łańcucha, uśmiechnie się do ciebie łagodnie. Wygrzebiez się, poprawisz plecionki, ruszysz do wyjścia. Za sobą usłyszysz kosookiego gramolącego się z hałaśliwym westchnieniem do nagrzanego barłogu. Znajdziesz się na dworze. po długiej odwilży zwiastującej wiosnę ściśnie mocny mróz, potem niebo pokryje się chmurami. Powleciesz się w ciemności między barakami do placu apelowego, podejdziesz do pod wzniesienie, zapukasz i wejdiesz cicho do biura. Komendant zasunie firankę, poprawi pas, spojrzy na swoje długie buty, podejdzie do stołu. Stanie za krzesłem, na oparciu rozwiesi szary wacik z brązowymi naszywkami, położy rękę na papierach. Pies w budzie przy bramie krótko zaszczeka. Przyszło zwolnienie, powie komendant powoli, cicho, dla tamtego. Spojrzy na ciebie uważnie. Tam przekręcili literę i jest teraz twoje nazwisko. Za noc, dzień i noc, porównam inne rzeczy i odkryję pomyłkę. W rejonie będzie łapanie, z tymi papierami poza rejonem dasz sobie radę. Pójdiesz na stację, za to, podsunie trzy zwinięte papierki,

dostaniesz bilet, masz też inne pieniądze, wiem o tym. Od teraz jesteś nikim, idź już, możesz jeszcze wstąpić do baraku, zdążysz . . .

. . . zdążysz. Popatrzysz na zwinięte banknoty, na ciemne okno przysłonięte firanką, zatrzymasz wzrok na kalendarzu na ścianie. Nie, powiesz może, nie pójdę. Wynoś się, jeszcze zdążysz, odpowie spokojnie komendant, będzie ci patrzył prosto w oczy jasnobłękitnym spojrzeniem, wynoś się, nie masz tu nic do gadania. Nie, powtórzysz, nie idę . . .

. . . nie idę. Idź, niedługo będzie komisja brązowych. Jeżeli tamten nie będzie zwolniony, to ty go zepchnąłeś z nasypu. Tamten nie był zwyczajnym szarym, ta sprawa przerasta cię, nie masz tu nic do gadania. Nie, będziesz się upierał, nie idę, nie mam po co. Musisz iść, będziesz wolny, nawet jeśli zapomniawszy co to znaczy, szybko sobie przypomnisz. Będziesz wolny, tamten będzie zwolniony, w osiedlu będzie spokój. Nie muszę, nie idę. Nie upieraj się, tak czy owak pójdiesz, tu nic nie masz, nic nie umiesz, nie pamiętasz, nie jesteś tu potrzebny. Nie, nie, powiesz znowu, nie będziesz rozumiał jego słów. Komisja cię przemieni, a jeśli nie, to i tak niedługo zejdziesz. Tam odnajdziesz wszystko, dom, pamięć, życie. Nie idę, będziesz mówił monotonna, nie idę, nie chcę, nie chcę jechać i spać, nie chcę spać i budzić się, nie chcę uciekać, pomyślisz. Nie igraj, burknie, przetrzymałeś fabrykę, uprzęż, las, ale to się już skończyło, już nie masz skąd czerpać siły, więcej nie przetrzymasz, doda w myślach. Nie chcę, powiesz, nie chcę budzić się gdzie indziej niż zasnąłem, tam są tylko inne osiedla, jedno wielkie osiedle, tak naprawdę tam nie istnieje, pomyślisz . . .

. . . nic nie ma, stracił wszystko, przeszłość, tożsamość, pragnienia, nie umie czytać, liczyć, pamiętać . . . mam teraz wszystko, odnalazłem przeszłość, siebie, umiem znów pamiętać, pisać . . . tego co tu się przechodzi nic nie wymaże, każdy dzień jest taki sam, każdy trwa całe, beznadziejne życie . . . tego co tu przeszedłem nigdy nie zapomnę , nie mam po co iść, każdy dzień jest wszędzie nowym, cudownym życiem . . . każdy w końcu traci swą odrębność, jądro odmienności, kiedy go nic już nie odróżnia od otoczenia, wtapia się w nie jak w bagno, aż do zniknięcia . . . każdy może w końcu wyłuskać swoją odrębność, karmić ją, podtrzymywać odmiennością innych, to jest sposób, żeby nie zejść z nasypu . . . zginie przemielony przez brązowych, musi iść póki jeszcze czas . . . nie mogę dać się wciągnąć do tego młyna gruchoczącego wszystko, muszę im dać moją odmiennność, póki jeszcze tu jestem . . .

. . . stamtąd przyszedłeś, tam jest twoje miejsce, powiedział komendant, tu zostaję, tu mnie potrzebują, odpowiedziałeś, idź jeszcze zdążysz, twoje miejsce nie należy już do ciebie, już nigdzie oprócz mnie nic mojego nie ma, idź uratuj przynajmniej siebie, wynoś się już, wynoś . . .

. . . wynoś się stąd. Wyszedłeś z biura, zszedłeś na dół, brnąłeś przez nierówne, zmarznęte błoto, przeciąłeś plac. Patrzyłeś na ciemne, zasnuwane chmurami niebo, na bramę

prowadzącą na nasyp i do stacji, na ośnieżone, uśpione baraki. Znad bagna wstawiała mgła. Było zimno. Wiał przenikliwy wiatr . . .

*Paryż, 1986*

```
* ***** *  
** **  
** **  
** S E N **  
* **  
** **  
* ***** *
```